

NIE CHCĘ BYĆ GWIAZDĄ

Jeśli trzeba byłoby opisać go jednym słowem, wystarczyłoby powiedzieć: Trzaska. Bo w tym słowie jest już dźwięk, ruch, żywiołowość, po prostu – muzyka. Więcej słów? Proszę bardzo. Mikołaj Trzaska – lat 39, saksofonista jazzowy i radykalny improwizator. Mąż, ojciec, miłośnik literatury i Ukrainy. Rozmawia Anna Sańczuk.

Na początku tej historii była „Miłość”. Trójmiejska grupa we wczesnych latach 90-tych wniosła w skostniały świat polskiego jazzu rockową energię stając się filarem tzw. sceny yassowej. Trzaska studiował malarstwo, ale pod wpływem fascynacji dokonania amerykańskiego saksofonisty Johna Coltrane’a pędzel zamienił na saksofon. I tak mu już zostało. Choć mniej znany od kolegów, z którymi zaczynał muzyczną przygodę – Leszka Możdżera i Ryszarda „Tymona” Tymańskiego, jest Trzaska postacią szczególną w polskim jazzie. Od lat idzie konsekwentnie własną ścieżką, z dala od wielkich sal i łatwego poklasku. Wciąż w ruchu, prowokuje i tworzy muzykę nie schlebującą ani masowym ani środowiskowym gustom, co często bywa nie w smak jazzowym purystom. Oprócz „Miłości” udzielał się w niezliczonej ilości przedsięwzięć, m.in. zakładając własny zespół „Łoskot” i grając w trio z braćmi Marcinem i Bartłomiejem Olesiami. Uzależniony od eksperymentowania, chętnie zapuszcza się na teren literatury: jest kompozytorem muzyki do scenicznych dokonań Andrzeja Stasiuka, współpracował z Marcinem Świetlickim i poetami ukraińskimi. Razem z żoną Olą prowadzi niezależne wydawnictwo płytowe „Kilogram Records”, o którym mówi: „Ola jest wydawcą, a ja – organem wykonawczym”. Ostatnio „Kilogram” pracuje pełną parą, bo Trzaska przeżywa niezwykle twórczy okres. W marcu ukazała się płyta „Andruchoid” z udziałem ukraińskiego poety i pisarza Jurija Andruchowycza, na której poetyckim frazom towarzyszą improwizacje muzyków (oprócz Trzaski: Macio Moretti i Wojciech Mazolewski). Kolejna płyta to zrealizowana wspólnie z Paulem Wirkusem „Noc”, czyli muzyka do niemiecko-polskiego przedstawienia autorstwa Andrzeja Stasiuka. Na wydanie czeka następny skandynawski projekt nagrany ze znakomitymi muzykami ze Szwecji i Danii. Ton jego saksofonu recenzenci określają jako „wściekły i ciepły zarazem” i taki też jest Mikołaj Trzaska. Bezkompromisowy, zbuntowany artysta, a jednocześnie fajny, otwarty człowiek.

- Z jednej strony jesteś uznanym muzykiem – padają określenia: „legendarny saksofonista”, „europejska czołówka”, ale wciąż pozostajesz twórcą undergroundowym, nieznanym szerokiej publiczności. To świadomy wybór?

- Nie chcę być gwiazdą. Nawet nie umiem, bo musiałbym się wyrzec wielu ważnych dla siebie rzeczy. Żeby dobrze wykonywać taką muzykę, jaką uprawiam, trzeba posiadać umiejętność bycia nikim, sprawiania by twoje granie stawało się elementem ważniejszym od ciebie. Trzeba uważać, żeby nie popaść w jakiś egotyczny lot, że oto „ja-artysta tworzę”, bo wtedy coś sobie zamykam. Dlatego zamiast wielkiej sali zawsze wybiorę klub, tam widzę twarze ludzi, ich reakcje... To jest mój zawór bezpieczeństwa - nie mogę się schować za gwiazdorstwem, muszę cały czas udowadniać, że mam prawo stać na scenie.

Kolorowy świat konsumpcji tak bardzo pochłania dziś ludzi w Polsce, że sztuka przestała być dla nich tak bardzo ważna. Zamiast kultury wybierają pop-kulturę. Nie boli cię to?

Myślę, że to jest przejściowe. Potrzebujemy jako społeczeństwo trochę czasu, żeby dojrzeć. Można mówić, że się nienawidzi kolorowych pisemek, że radio się skiepsciło, że fajne małe kina padają, ale z drugiej strony pojawia się coś, co nazywam pluralizmem kulturalnym. To oznacza, że kończy się okres jednej i słusznej sztuki, jednego i słusznego jazzu. Teraz naprawdę musimy liczyć na tych, którzy nas wybierają. I ja o tym wiem, bo już od jakiegoś czasu prowadzimy z moją żoną Olą małe wydawnictwo muzyczne i widzimy jaka jest tego moc. Oczywiście, nie sprzedajemy nakładów rzędu kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy, bo to bardzo elitarne rzeczy, ale za to mamy kontakt z tymi, którzy je kupują. To jest ogromnie ważne. Ponieważ moi słuchacze nie tylko mnie wspierają, ale oczekują ode mnie nieustannego rozwoju. Wiem, że przycisną mnie do ściany. Potrafią wytknąć mi błędy, napisać list zaczynający się od słów: „Ostatni pański koncert był okropny...” (śmiech).

Skrajnym przykładem konfrontacji z publicznością była zeszlóroczna płyta „Danziger Strassenmusik”, którą razem z braćmi Oleś nagraliście na ulicy Mariackiej w Gdańsku. Wychodząc do nieprzygotowanego, przypadkowego odbiorcy z dość wymagającą muzyką wystawiliście się na ryzyko całkowitego odrzucenia. Mariacka to - w sensie turystycznym, najgorsza ulica. Taka, którą przewalają się wycieczki nastawione na rozrywkę. I dobrze, bo to miało być właśnie takie ćwiczenie w „byciu nikim”, stawianiu się jedynie przekąźnikiem dla muzyki. Mam to szczęście, że pracuję z genialnymi muzykami – myślę o Olesiach, którzy posiadają zdolność takiej wymiany. Cały ten koncert, oprócz ostatniego utworu, jest improwizacją. Na bazie

tego, co dzieje się dookoła: dźwięków ulicy, odgłosów ludzi, miejsca - powstaje historia. Opowieść, która tak naprawdę jest początkiem zachodu słońca i spotkaniem z mrokiem, bo spektakl rozgrywa się w ciągu tak zwanej „magicznej” godziny. Na końcu słychać już tylko ptaki, jak wołają: - Idźcie spać!

Często mówi się o tobie, jako o „radikalnym improwizatorze”. Improwizacja – to chyba kluczowe pojęcie w twojej muzyce?

To coś, czego się wciąż uczę, co cały czas ćwiczę. Dla mnie artysta, to ten, kto jest „obecny”. Być tu i teraz - to jest moje zadanie, które muszę wykonać jak najlepiej. Na tym właśnie polega improwizacja, że jesteś „tu i teraz”, przemieniasz tę chwilę w muzykę.

Chociaż muzyka to żywioł abstrakcyjny, ty chętnie przyrównujesz ją do opowiadania historii. Czy stąd wziął się twój wieloletni flirt z literaturą i przyjaźnie z pisarzami?

Właśnie uzmysłowiłem sobie, że ostatnio rozmyślam i rozmawiam głównie o książkach, także z innymi muzykami. Tylko z Jurijem Andruchowyczem rozmawiam o muzyce. On chce gadać o muzyce, a ja o książkach (śmiech). Uzgodniliśmy, że dobry pisarz musi być trochę muzykiem, a dobry muzyk musi być trochę pisarzem. Literatura wymaga muzycznego dramatyizmu: melodii, znajomości rytmu - po tym poznać dobrego pisarza. Andrzej Stasiuk ma ten dar. Wcześniej go nie doceniałem, dopiero przy projekcie „Nacht/Noc” uzmysłowiłem sobie, że on jest rzeczywiście niebywale rytmiczny. Może dlatego, że sam gra na perkusji i na kongach. Czasem gramy razem, kiedy spotykamy się u niego w domu, mamy domowy zespół: „Pantoflarze”. Nazwa wzięła się stąd, że jego żona jest jego wydawcą, a moja żona jest moim wydawcą (śmiech)...

Bardzo się zbliżyłeś do świata literackiego. Twoje dwie ostatnie płyty „Andruchoid” i „Noc” powstały we współpracy z wymienionymi pisarzami – Jurijem Andruchowyczem i Andrzejem Stasiukiem.

To dlatego, że próbuję sobie znaleźć meta-język. Chcę przekroczyć muzykę, przekroczyć nawet tę wygodną sytuację, w której się teraz znajduję. Wreszcie, po latach pracy, wszedłem w świat, na którym mi bardzo zależało - zaczynam grać w Europie z muzykami najwyższej próby. Od dwóch lat gram ze Skandynawską sekcją genialnego Niemieckiego saksofonisty Petera Brötzmana, a także z nim samym, ale nawet to „getto” już mnie wkurza, czuję, że tam jest jakieś tabu, że trzeba to złamać.

To gdzie jest teraz twoje muzyczne centrum, gdzie i z kim chcesz grać?

Mój most jest teraz rozpięty gdzieś nad Polską - pomiędzy Niemcami, Skandynawią i Ukrainą.

A Nowy Jork?

Myszę, że tam już nie ma czego szukać, to co świeże jest tutaj i to właśnie w tej części Europy. Mam poczucie, że Polska strasznie dużo dostała dzięki temu, że się Ukraina otworzyła przed nami. Ziściło się moje marzenie.

Ukraina jest ci szczególnie bliska, często tam koncertujesz, przyjaźnisz się z ukraińskimi artystami.

Właściwie skąd się wzięła Ukraina w twoim życiu?

Podczas którejś wizyty u Stasiuków, Andrzej opowiadał mi o ukraińskim pisarzu i poecie Juriju Andruchowyczu – że fajny gość, jego rówieśnik, że piszą wspólnie książkę. Zaproponował, żebym im towarzyszył z muzyką na scenie, kiedy będą czytać swoje rzeczy w Gdańsku. I tak się stało. Jeśli chodzi o Jurija, to rzadko zdarza się, żeby ktoś mówił w sposób tak uporządkowany rytmicznie, tak dokładnie znał sens muzyki w wierszu - może jeszcze Świetlicki. Kiedy potem pojechałem na Ukrainę zrozumiałem, że to wynika z tradycji ukraińskiej. Bo tradycja mówionego słowa to tradycja wschodu. Tam poeci po prostu mówią swoje wiersze. Stają na stołach i spuszczaają spodnie – nie na dla ekscesu, ale na znak bezbronności. Naprawdę! Nikt mi do końca nie umiał powiedzieć, skąd to się wzięło, to jakaś własna lwowska tradycja. Recytują wiersze nie tylko swoje, ale też powszechnie znane np. Majakowskiego, Brodzkiego. A ludzie słuchają i powtarzają. Czegoś takiego w Polsce nie widziałem. I ten ukraiński język! Jest hardy, chropawy - to język wojowników, język mężczyzn. A kiedy mówią nim kobiety, wtedy jest to z kolei język zmysłów...

Co cię tam ciągnie?

Tęsknota. Na Ukrainie wydaje mi się często, że jestem w Polsce z lat dzieciństwa. Chodzi o ten rodzaj życzliwości, że pytasz kogoś o ulicę i ten ktoś idzie z tobą 10 minut, żeby ci ją pokazać. A przy okazji opowie ci coś o sobie i czegoś się od ciebie dowie... Inny powód to wielka inspiracja kulturą. Na zchodzie już nie ma czego szukać. Po za tym musisz mieć o czym opowiadać, kiedy grasz. Musisz podróżować,

zwiedzać, chłonać. Bo muzyka jest tylko wynikiem, tego co się z tobą dzieje. Nieustannie uczysz się otwierać.

Byłeś na Ukrainie także wtedy, kiedy odbywała się pomarańczowa rewolucja...

Zaprosiłem tam swoich skandynawskich kolegów – Friisa Nielsena i Peetera Uuskylę. Wiedziałem, że muszę im to pokazać! Trochę się bali, ale namówiłem ich. Wjechaliśmy do Lwowa, który był cały pomarańczowy i w którym panowała atmosfera wielkiego szczęścia. I nam się zaczęło to udzielać. Poszliśmy na obiad – wspaniałe ukraińskie żarcie i piwo „17-15” - jedno z najlepszych piw europejskich, bo na Ukrainie mają galicyjską tradycję warzenia piwa. Nagle mówią nam, że mamy iść na plac, do ludzi: - Przyjechaliście z zagranicy i musicie powiedzieć, że jesteście z nami! Nigdy nie miałem takiej publiczności na koncercie – kilkaset tysięcy ludzi! Friis płakał, Uuskyla wygłosił coś po szwedzku, a ja powiedziałem po prostu: - „To się już stało. Wy już jesteście wolni”. Tłum zaczął skandować słowo: „Wolność!”. Kiedy po powrocie weszliśmy do studia i przez dwa dni nagrywaliśmy, zobaczyłem, że cała nasza muzyka o tym mówi.

Powiedziałeś kiedyś, że w muzyce szukasz „romantycznej, środkowoeuropejskiej nuty”. Czy podróżowanie na wschód nie jest też poszukiwaniem tej naszej środkowoeuropejskiej tożsamości?

No właśnie, jak to zrobić, żeby było słyhać w twojej muzyce miejsce, w którym się urodziłeś? Takie postawiłem sobie zadanie. Po pierwsze - nie być cepeliowskim, po drugie – nie ulegać modom, czyli nie grać np. Chopina po jazzowemu. Ostatnim takim zjawiskiem w polskiej kulturze jazzowej był Komeda – w jego muzyce naprawdę jest tutejsza przestrzeń, pejzaż, a nawet świadectwo czasów... Doświadczenie ukraińskie pomaga, bo Ukraina ma niezwykle silną kulturę ludową, która wciąż jest żywa. Tam młodzież śpiewa stare pieśni tak samo jak baby na wsi. Na płycie „Dni krytyczne”, którą nagrałem na ukraiński rynek z tamtejszymi muzykami, dwie dziewczyny śpiewają pieśń zaczynającą się od słów „Moja myła...”. Kiedy ją usłyszałem, natychmiast zobaczyłem ukraiński pejzaż. W chórze ukraińskim, zwłaszcza tym kozackim, widzisz step, zanim go naprawdę zobaczysz – i to jest fakt, nie żaden stereotyp. Coś takiego jest też w prozie Andruchowycza, np. w „12 kręgach” – tam jest ta połonina, nasz europejski Tybet, gdzie uwidacznia się cała magiczność Karpat. To jest źródło, z którego można czerpać i z którego można być dumnym. Stąd się biorą moje podróże. Nie tylko na Ukrainę, ale i na Węgry, do Rumunii. Tajemniczy „M.” - towarzysz podróży Stasiuka z jego książki „Podróż do Babadag”, to jestem ja. I może to brzmi okropnie, że poszukuję polskiej tożsamości poza granicami Polski, ale... Podróżując po Europie Środkowej często ma się wrażenie, że granice zostały poprowadzone w złych miejscach. Czujesz, że jesteś w jednym kraju, chociaż przecinasz cztery granice.

Mam wrażenie, że bardziej interesują cię ludzie, ich sposób myślenia, niż to, czy są artystami?

Tu jest ważne, że trafiasz najpierw na ludzi, a potem na ich sztukę, literaturę, koncert. Tak trochę od tyłu. Na Ukrainę trafiłem przez Stasiuka, do Stasiuka trafiłem przez Świetlickiego, a do Świetlickiego trafiłem przez koncert Miłości, na który on przyszedł. Zawsze jest to jakiś ludzki łańcuszek: jedna baba drugiej babie. Tak właśnie toczy się historia świata. Faktycznie to, co mnie interesuje, to przeżyta i opowiedziana przez ciebie historia. Tak było także w przypadku mojej wielkiej fascynacji Coltrane’em – nie tyle interesowały mnie jego zagrywki, co jego podejście do muzyki. Znam dziesiątki ludzi, którzy grają albo Coltranem, albo Parkerem – nie o to chodzi. i Przeciwno temu się buntuję. Bunt i moja wściekłość, chęć bycia wiecznym wojownikiem, to jest mój napęd. Chcę walczyć o to, żeby sztuka nie była trywialna. Niestety mam niebezpieczne poczucie misji. Tacy są najgorsi. Mam nadzieję, że mi to nie przejdzie.

Z jednej strony bycie wojownikiem, poszukiwanie „prawdy” w muzyce, a z drugiej strony trzeba prowadzić normalne życie. Czy twoja rodzina jeździ z tobą w trasy?

Moja żona jeździła na samym początku, ale powiedziała, że to jest nie do wytrzymania (śmiech).

To jest tak naprawdę pytanie o życie radykalnego twórcy - czy jest on w stanie prowadzić zwykłe życie rodzinne?

Mam teraz małe dzieci – jedno 4 lata, drugie niewiele ponad rok, i bardzo chcę być w domu. Dlatego staran się grać trochę mniej. Przez wiele lat musiałem robić mnóstwo różnych rzeczy, żeby przetrwać, ale teraz istnieję już jakoś w świadomości ludzi. Im więcej się o mnie mówi, tym więcej chcą mi zapłacić za koncert, tym mniej muszę o to prosić. To pozwala na pewien komfort pracy. Wcześniej, kiedy jechałem w trasę musiałem zagrać 20 koncertów miesięcznie i pokonać setki kilometrów – jak się po czymś takim wraca do domu, to naprawdę jest się nie do życia. Dzieci zmieniły wszystko, bo mam świadomość, że jak mnie nie ma choćby trzy dni, to one już są inne, cały czas się zmieniają. Ktoś mi powiedział, że przyjście na świat dzieci to święty moment i ja to poczułem. Z ich pojawieniem się zaczął się dla mnie niezwykle twórczy okres. Co

nie znaczy, że jest idealnie, tej zimy byłem w domu zaledwie parę dni.

Mówiłeś, cytując indiańską opowieść, że tak dużo latasz samolotami, że dusza za tobą nie nadąży i czasem musisz na nią poczekać kilka dni. To powoduje rodzaj wewnętrznego chaosu – jest takie niebezpieczeństwo w życiu muzyka, prawda?

Myślałem ostatnio o tym, że mnóstwo otrzymuję z różnych miejsc, ale równie dużo siebie zostawiam, tracę. Co robić, żeby się przed tym bronić?

Nie za dużo pić. Ale trochę trzeba (śmiech). Żartuję, ale coś w tym jest.

Jest taki stereotyp życia muzyka w trasie – alkohol, używki, imprezy. Praca na najwyższych emocjach, nowi ludzie - można się w tym zatracić.

Moim szczęściem jest to, że nie dostałem pięścią sukcesu między oczy. W przypadku takiej muzyki jaką gram ludzie dochodzą do czegoś wytrwałą, ciężką pracą i konsekwencją. Mam jednak poczucie, że cały czas muszę się pilnować, nieustannie stykać się z realnością. Dla mnie rodzina jest tym momentem, który pozwala mi się złożyć do kupy. To jest moje zakorzenienie. Mam tajną broń, wiesz? Mogę zginąć w tym lasku obok, ale rano otrzępię się z liści i wrócę do domu. Prawda jest taka, że łatwo można pójść w złą stronę. Ożeniłem się mając 30 lat i to był dobry pomysł, ale jeszcze dwa lata dłużej i moja żona by mnie nie wzięła. Miałem świetne zaczątki, by zostać menelem (śmiech). Przyznaję, że jest takie ryzyko. Cały czas pracujesz z otwartym sercem, spotykasz się z cudownymi ludźmi i jak jesteś gdzieś miesiąc, to płaczesz wyjeżdżając. Zawsze ci się wydaje, że już nigdy ci się to nie zdarzy. Po czym za jakiś czas wszystko zaczyna się od nowa.

Trzeba mieć twardy kręgosłup.

Być może na tym polega twardość, że jest się miękkim. Może to jest ta zagadka.

Uważasz, że aby przetrwać na scenie, trzeba mieć jakieś duchowe zakorzenienie. W czasach Miłości widać było, jak wszyscy tego szukacie: Tymon i ty w buddyzmie zen, Leszek Możdżer w chrześcijaństwie.

To jest rzeczywiście szczególnie potrzebne w tej robocie, bo ona wymaga wielkiego otwarcia, nadwrażliwości. Łatwo wtedy popaść w stan lekkiej depresji, smutku, wypalenia. Przez te wszystkie lata nauczyłem się już wpuszczać ten smutek do siebie i wtedy on mnie nie niszczy. Kiedy się opieram, jak twarde drzewo, to wiem, że każda fala mnie złamie, a jak się uginam, to nic mi się nie dzieje. Myślę, że każdy muzyk, który pracuje w zespole musi przejść taką „psychoterapię”, w sposób niekoniecznie formalny. Bycie muzykiem to lata doświadczeń pracy ze sobą i z ludźmi. Cały czas się konfrontujesz, przebywasz z innymi i musisz, jak już mówiłem – umieć zniknąć. Paradoksalnie to nie jest świat dla liderów, czy „gwiazd”. Liczy się umiejętność nawiązywania kontaktu z ludźmi.

BIOGRAFIA:

Mikołaj Trzaska (1966), absolwent Liceum Plastycznego w Gdyni-Orłowie, nie dokończył studiów na wydziale malarstwa Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Muzyczny samouk - saksofonista altowy, gra też na klarnecie basowym i harmonijce ustnej. Publiczności dał się poznać dzięki legendarnej grupie yassowej „Miłość” (z Ryszardem Tumańskim, Leszkiem Możdżerem, Jackiem Olterem). Pracując w tym zespole miał okazję grać z gwiazdami światowego jazzu, m.in. Lesterem Bowie, czy Tomaszem Stańko. Współpracował z licznymi zespołami, m.in.: Świetliki, NRD, czy Katarzyną Nosowską. Razem ze swoją żoną prowadzą niezależne wydawnictwo „Kilogram Records”, jest liderem grupy „Łoskot”, członkiem tria Oleś/Trzaska/Oleś

oraz międzynarodowego składu „Notrt Quartet”. W 2003 roku nawiązał stałą współpracę ze skandynawskimi muzykami – basistą Peterem Friisem Nielsenem i perkusistą Peeterem Uuskyla. W kwietniu 2005 roku, Trzaska powołał do życia międzynarodowy skład, którego głównym filarem jest wielki niemiecki saksofonista Peter Brötzmann. Jest też jednym z członków supergrupy Basisters Orchestra – wraz z Fiszem, Emade, Wojtkiem Mazolewskim, DJ-em Bunio i Maciem Morettim.

Wybrana Dyskografia:

„Miłość” (1992, z Miłością), „NorTwo” (1994, z Miłością i Lesterem Bowie), „Amariuch” (1998, z Łoskotem), „Cierpienie i Wypoczynek” (2000, z Marcinem Świetlickim), „Danziger Strassenmuzik” (2004 z Marcinem i Bartłojem Olesiami), „Unforgiven North” (2004, Nielsen/Uuskyla), Andruchoid (2005, z Jurijem Andruchowiczem).